

## **Maciej Gaździcki: Androidy śnią o duszy – Przemyslenia na marginesie Blade Runnera 2049**

Nie jest to film pozbawiony wad, nie jest to również film łatwy, także jeśli chodzi o jego klimat. Niemniej jest to film dobry, udany od strony rozrywkowej, a przy tym nadal zostawiający posiłek myślom – pisze Maciej Gaździcki w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Résumé 2017

**UWAGA! Tekst zdradza istotne elementy fabuły filmów „Blade Runner” oraz „Blade Runner 2049”.**

W kuluarach mówi się, że obecna tendencja w kalifornijskiej Fabryce Snów prowadzi do przyznawania pierwszego miejsca w kolejce wszelkiej maści adaptacjom, prequelom, remake'om, rebootom czy sequelom. Zapewne można by się spierać o prawdziwość tej tezy, trudno niemniej nie zauważyć, że w ostatnich latach na afiszach pojawiają się znajome tytuły, czasem z dodatkową cyfrą, czasem bez. Hollywood szczególnie upodobało sobie ósmą dekadę minionego stulecia, która przyniosła wiele zapadających w pamięć dzieł, twórców nieskrępowanej wyobraźni, które – nawet jeśli często było nastawione przede wszystkim komercyjnie – posiadały trafiające do wielu osób przesłanie, stanowiąc realizację odwiecznego postulatu o uczenie przy jednoczesnym zapewnianiu rozrywki. W tym gąszczu kontynuacji i ponownego opowiadania znanych historii szczególną uwagę musi zwracać Blade Runner 2049.

Adaptację powieści Philipa K. Dicka Czy androidy śnią o elektrycznych owcach? można z powodzeniem uznać za klasykę ambitniejszego kina science-fiction. Film Ridley'a Scotta był produktem czasów, gdy częste były produkcje poświęcone z jednej strony industrializacji życia, z drugiej stawiały pytanie o granicę pomiędzy człowiekiem a maszyną (by wymienić posiadające już status kultowych Terminatora Jamesa Camerona czy RoboCopa Paula Verhoevena). Film Camerona – podobnie jak pierwsza część historii Rambo według prozy Davida Morella, niezbyt szczęśliwie zaliczanym do bezrefleksyjnych produkcji „zabili go i uciekł” – łączy z Blade Runnerem także przynależność do gatunku tech noir, łączącym w sobie elementy futurystycznego science-fiction i filmu noir. Tytułowy „łowca androidów” (czy ściślej replikantów – stworzonych do ciężkiej lub niewygodnej pracy sztucznych ludzi) Rick Deckard (jedna z najsłynniejszych ról Harrisona Forda) nosi w sobie wiele z klasycznych bohaterów w typie bogartowskiego Sama Spade'a. Film nie tylko stał się jednym z klasyków gatunku, wzorcowym dziełem cyberpunku (w którym zaawansowana technologia miesza się ze światem nizin społecznych), przykuwającym uwagę niesamowitym klimatem i dbałością o stworzenie wiarygodnego świata, szybko zyskał również status jednego z ważniejszych dzieł w historii kinematografii, nie tylko fantastyczno-naukowej. Postaci i ich decyzje doczekały się rozlicznych analiz i interpretacji (w tym prowadzonych na gruncie akademickim), otwartym pozostawało kluczowe pytanie czy łowca sam nie był zwierzyną (tj. replikantem). Scena, w której antagonistą, buntownik Roy Batty (Rutger Hauer) wygłasza mowę pożegnalną (słynne „Łzy w deszczu”) uznawana jest za jedną z najbardziej przejmujących filmowych śmierci. Już od lat 80. dopisywano ciąg dalszy lub przynajmniej rozszerzający stworzony świat (w formie gier lub powieści), jednak brakowało oficjalnej kontynuacji filmowej (Żołnierz przyszłości Paula W.

Andersona według scenariusza Davida Webba Peoplesa – współscenarzysty dzieła Scotta - uznawany jest za film poboczny). Dopiero początek obecnej dekady przyniósł poważne plany. Początkowo na stołku reżyserskim miał zasiąść Christopher Nolan, ostatecznie stery objął Denis Villeneuve, uznany kanadyjski filmowiec, który w Hollywood wyrobił sobie nazwisko takimi obrazami jako Sicario czy Labirynt.

*Blade Runner 2049 od strony artystycznej został przyjęty bardzo entuzjastycznie. Choć oczywiście pojawiały się głosy krytyki, przeważały pozytywne recenzje*

Przygotowany przez niego sequel - Blade Runner 2049 - nie zarobił wprawdzie spodziewanej kwoty, stając się tym samym komercyjną porażką, od strony artystycznej został

przyjęty bardzo entuzjastycznie. Choć oczywiście pojawiały się głosy krytyki, przeważały pozytywne recenzje. Na opiniotwórczym portalu Rotten Tomatoes uzyskał Certyfikat Świeżości, pochwalona została zarówno strona wizualna, jak i fabularna, uznano, że sequel pogłębia i kontynuuje historię opowiedzianą w części pierwszej, a jednocześnie broni się jako samodzielna opowieść. Tym samym nowemu filmowi udało się uniknąć zasilenia szeregów produkcji, których główna, a często jedyna siła opiera się na nostalgii wobec oryginału (jakkolwiek, trzeba to przyznać, znaczną część widowni tworzyli niewątpliwie ci, dla których dzieło z 1982 roku posiadało jakąś wartość).

Pomimo tego, że powraca – wciąż grany przez Forda – Deckard, ciężar historii został przeniesiony na innego łowcę, replikanta znanego jako K (w tej roli Ryan Gosling). Dokonując rutynowej eliminacji jednego ze zbuntowanych pobratymców wpada na trop bezprecedensowego wydarzenia, jakim mogą być narodziny pierwszego replikanckiego dziecka (jakkolwiek bowiem silniejsze, bardziej wytrzymałe i sprawniejsze od prawdziwych ludzi, androidy nie posiadają kilku cech im właściwym, w tym zdolności do rozmnażania płciowego). Rozpoczyna się poszukiwanie niezwyklej istoty, która posiada wartość zarówno dla ludzi, jak i uciemionych przez nich replikantów – niewolników.

Jaką rolę odgrywa tu K? Udział w poszukiwaniu to dla niego nie tylko okazja, by sprawdzić się jako zdatne i sprawne narzędzie, jakim chcieliby go widzieć jego przełożeni. Narodziny replikanta posiadają dlań specjalny wymiar, gdyż jak sam mówi, urodzić się to znaczy mieć duszę. Nie chodzi tu o umieszczenie łowcy w jakimkolwiek konkretnym systemie religijnym – bardziej wybrzmiewa tu jego tęsknota za celowością i byciem czymś więcej, nawet pomimo zapewnień szefowej policji, która stwierdza, że K działa równie dobrze \*bez\* duszy. Dlatego przyjmuje możliwość, że to właśnie on może być poszukiwanym, na co w pewnym momencie zdają wskazywać wszystkie poszlaki. Jest to niewątpliwie odpowiedzialność, ale i szansa. Dla K wiedza i świadomość bycia replikantem staje się ciężarem. Nie tylko musi znosić pogardliwe traktowanie ze strony prawdziwych ludzi – raz po raz powraca w filmie obelżywe slangowe określenie, przetłumaczone jako androdupek – ale także stykać się ze swoimi pobratymcami, z których część postrzega go jako zdrajcę, z tymi i innymi nie posiada nici porozumienia. Na pewno był pan rozkosznym bobasem – mówi jednemu z urzędników, który również jest replikantem, jednak

najpewniej nie posiada świadomości; wyraźny jest smutek w głosie K, który wie, że domniemane wspomnienia rozmówcy to efekt wszczepienia ich. Łowcę wspiera jego dziewczyna Joi (Anna de Armas), która również desperacko szuka czegoś więcej w swoim życiu. Jest bowiem produkowanym seryjnie domowym programem komputerowym mającym służyć do spełniania życzeń – męskiego – użytkownika, a dzięki specjalnemu emantorowi może przebywać z nim na zewnątrz. Joi również musi znosić upokorzenia i potraktowanie jak przedmiot (Byłam w tobie – mówi jej ludzka prostytutka, z której pomocy ona i K w pewnym momencie skorzystali – Jest tam mniej niż ci się wydaje), niejednokrotnie pojawiają się ograniczenia techniczne świadczące, że jest tylko projekcją holograficzną i niczym więcej. Tym bardziej zależy jej na tym, żeby nadać ich życiu znamiona społeczeństwa. To ona nadaje łowcy imię „Joe”, a gdy ten przestrzega ją, że może zostać zniszczona i utracona na zawsze, ta kwituje to jak prawdziwa dziewczyna. Będąc wiernym prawidłom tech noir i dobrego opowiadania historii w ogóle twórcy nie pozwalają na łatwy happy end. Scena, w której wychodzi na jaw tożsamość cudownego dziecka, jest punktem zwrotnym, zarówno dla tej części widowni, która spodziewała się klasycznego poprowadzenia akcji (niegdysiejszy prześladowca staje się bohaterem prowadzącym prześladowanych do zwycięstwa; protagonista okazuje się być z dawna zapowiadany wybrańcem), jak i samego K, którego świat obraca się w gruzy. Umiera także – zgodnie z wcześniejszymi obawami – ukochana Joi. Gdy nam idącym ulicą androidem pochyła się jej wielki hologram reklamowy rozbijane są kolejne złudzenia. Nie jest to bowiem jego Joi. A może Joi nigdy nie była jego – należała do wszystkich użytkowników programu; ukazując się nago prezentuje całemu światu to, co domniemanie przeznaczone było tylko jej ukochanemu. Zwrócenie się per „Joe” jest kolejnym bolesnym ciosem – okazuje się, że jest to bowiem podstawowe imię, którym hologram zwykł obdarzać swoich użytkowników, a nie przebłysk empatii. W K nie ma jednak zgody na zaakceptowanie stanu

rzeczy. Wyruszając poznanemu wcześniej Deckardowi na ratunek wyłamuje się z narzuconej mu roli narzędzia, w którą chcieli go wtłoczyć zarówno ludzie, jak i inni replikanci (K został bowiem oddelegowany przez ruch oporu do zgładzenia Deckarda, by ten nie wyjawiał miejsca pobytu cudownego dziecka). Ryzykując swoje życie i jak można się domyślić z zakończenia ostatecznie oddając je w zamian za ocalenie ojca i... córki K zbliżył się lub zyskał człowieczeństwo. A może stało się to już wcześniej – gdy zaakceptował utratę Joi, gdy zaakceptował, że świat, który sobie w planach budował nie istnieje, ale może zbudować inny, że nie musi realizować niczyjego programu. Pozostaje pytanie o wzbudzającą autentyczną sympatię Joi. Czy wszystkie jej odruchy były kontrolowane i przewidziane przez twórców sztucznej inteligencji? Czy również dla niej moment zaakceptowania możliwości śmierci i działania pomimo jej ryzyka stał się definiującym ją jako coś więcej niż ciąg zer i jedynek? Gdzie w tym wszystkim jest dusza, za którą ona i K tak podążali? Czy była tylko ułudą, czy może – zamiast szukać jej w niejasnych, metafizycznych kategoriach – należałoby jej szukać po prostu w zachowywaniu się jak człowiek?

*Hollywood szczególnie upodobało sobie ósmą dekadę minionego stulecia, która przyniosła wiele zapadających w pamięć dzieł, choć nastawione komercyjnie, posiadał przesłanie trafiające do wielu ludzi*

Znanym powiedzeniem wśród twórców i odbiorców fikcji jest, że bohater jest tak dobry, jak dobry jest jego przeciwnik. Postacią, której warto się przyjrzeć jest bez wątpienia Niander Wallace, spadkobierca

korporacji Eldona Tyrella i jego dziedzictwa - replikantów. Początkowo miał się w niego wcielić David Bowie, jednak jego przedwczesna śmierć sprawiła, że rolę otrzymał ostatecznie Jared Leto. Wykreował on interesującą postać złego lub wykrzywionego Chrystusa, nawet kompletnego – z długimi włosami i brodą. Wallace jest uznawany za mesjasza, który w trudnej sytuacji ludzkości przyszedł jej z pomocą (oferując specjalnie modyfikowany – „nie z tego świata” – pokarm), cytuje Pismo Święte (w tym fragment mesjańskiego orędzia z Księgi Izajasza), a jego wielkim dokonaniem jest wskrzeszenie dzieła życia Tyrella, jednak im dalej, tym więcej różnic lub przeinaczeń można dostrzec. Przede wszystkim rzuca się odseparowanie Wallace od szarego człowieka i nie chodzi tu tylko o zamieszkiwanie w wieżowcu, lecz również o trudny dostęp na audiencję – Wallace zazwyczaj ukazywany jest samotnie lub z jednym tylko towarzyszem, jak jeden z jego „aniołów”, replikantka Luv. Jego ślepotą może być odniesiona do koncepcji ślepego zegarmistrza Richarda Dawkinsa. Wallace jest zatem stwórcą, swego rodzaju bogiem, ale bogiem niedoskonałym. Nie dba przy tym o swoje stworzenia – demonstracyjnie morduje świeżo narodzoną replikantkę, dając upust swojej wściekłości, gdyż jego produkty nie są zdolne do samodzielnego przekazywania życia, tym samym pozostając niedoskonałymi kopiami. W innej scenie, chcąc przekupić Deckarda, próbuje zwabić go nową wersją jego ukochanej Rachel – jednak i tym razem jego wysiłki okazują się niewystarczające, gdyż nie umie wiernie odtworzyć oryginału; nowa Rachel zostaje bezlitośnie zabita, jej celem nie było samodzielne życie, lecz bycie wykorzystana jako przedmiot. Polując na cudowne dziecko Wallace wchodzi w rolę apokaliptycznego smoka dybiącego na mającą porodzić niewiastę; dla niego pożarcie oznacza nie usunięcie zagrożenia, lecz zdobycie klucza do podboju wszechświata, którego wizją jest opętany. Postać Wallace'a wyraźnie skonstrastowana jest z Batty'm z pierwszej części. On również nie był w stanie zaakceptować własnych ograniczeń i pogodzić się ze swoją tymczasowością. W finale uznał jednak, że jego

czas musi minąć, gest ocalenia życia Deckardowi uczłowieczył go i w pewien sposób dał mu to, o co wcześniej prosił swego stwórcę – więcej życia (koniec końcem obaj replikanci – Batty i K – podejmują podobne decyzje, jakkolwiek różne były ich motywy i sposób działania). Wallace nie jest natomiast w stanie zaakceptować porażki, nieugięta postawa Deckarda prowadzi do sięgnięcia po o wiele mniej subtelne metody uzyskiwania rezultatów. Oczywiście dla wielu odbiorców może być to właśnie prawdziwy obraz Boga – odseparowanego od ludzi tyrana, megalomana i egoisty, usiłującego poprzez ból i cierpienie (to właśnie ma być przeznaczeniem Deckarda) uzyskać pożądany efekt poddania. Jeśli jednak w najbardziej negatywnym obrazie Boga odnajduje się elementy pozytywne, których mimo wszystko w kreacji Wallace'a brak – jest ona jednoznacznie sataniczna; włącznie z jego cynicznym stosunkiem do ludzi, którym pozornie służy.

Ten krótki esej dotyka zaledwie dwóch kwestii filmu. Jest ich znacznie więcej. Nie jest to film pozbawiony wad, nie jest to również film łatwy, także jeśli chodzi o jego klimat (nie jest może tak depresyjny, jak tegoroczny *Obcy*, ale jednak). Niemniej jest to film dobry, udany od strony rozrywkowej, a przy tym nadal zostawiający posiłek myślom. Villeneuve pracuje obecnie nad kolejną ekranizacją *Diuny* Franka Herberta, innego przykładu ambitniejszego science-fiction. *Blade Runner 2049* daje sporą nadzieję na solidny, skłaniający do refleksji film, na który historia o Paulu Atrydzie i planecie Arrakis zresztą zasługuje.

*Maciej Gaździcki*

